

Rozmowa z **Brigidą Helbig**, autorką książki "Enerdownce i inne ludzie".

- W jakich okolicznościach emigrowała Pani do Niemiec?

- Pojechałam tam jesienią 1983 roku, krótko po zakończeniu stanu wojennego, nie mając jeszcze skończonych dwudziestu lat. Jechałam z wizą turystyczną w kieszeni pociągiem nocnym z Poznania, przez Rzepin i Berlin, na legendarny Zachód. Do dziś pamiętam rozstanie z rodziną i przyjaciółmi na dworcu w Szczecinie. Były to bardzo bolesne chwile, nie wiedzieliśmy, kiedy się znowu zobaczymy. Nie było to oczywiste w czasach Żelaznej Kurtyny. Wczesnym rankiem 1. listopada pociąg z hukiem zatrzymał się w małym miasteczku na Westfalli i nagle, z dnia na dzień, zaczęłam życie w innej bajce.

- Ktoś na Panią czekał?

- Przyjechałam do chłopaka, który opuścił Polskę jeszcze przed stanem wojennym, w roku 1981. Długo więc przyszło nam na siebie czekać, listy, które wysyłaliśmy do siebie w tym czasie, przychodziły ze stemplem „ocenzurowano”.

- Jak przebiegał proces zakorzeniania się?

- Trwało to długo, około pięciu lat. Przez pierwszych pięć lat tęskniłam za krajem i pragnęłam za wszelką cenę do niego wrócić, co jednak nie było możliwe. Dzięki narzeczonemu i jego rodzinie nie było mi w Niemczech źle, choć urzędy niemieckie robiły wszystko, aby utrudnić mi życie. Przez wiele miesięcy z dużym samozaparciem uczyłam się niemieckiego, najpierw w domu, potem w szkole z internatem. Następnie wysłano mnie aż pod granicę holenderską, do miasteczka Geilenkirchen, do szkoły dla tzw. późnych przesiedleńców, abym uzupełniała tam polskie wykształcenie i zrobiła niemiecką maturę (polskiej nie uznawano). Dopiero w roku 1985 mogłam rozpocząć studia slawistyki i germanistyki na Uniwersytecie w Bochum, gdzie poznałam mnóstwo ciekawych ludzi, z którymi założyliśmy klub poetycki „Dichter-Fressen” i coś fajnego zaczęło się dziać. Nostalgia się skończyła.

- Co Panią w Niemczech najbardziej zdziwiło?

- Od razu po przyjeździe wstrząsnął mną przede wszystkim dobrobyt, chociaż oczywiście byłam mentalnie przygotowana na tan szok. W Polsce w tamtym czasie sklepy były puste, szczecińskie ulice szare i smutne. A tu wielkie billboardy na ulicach, sklepy pełne niezliczonej ilości kolorowych gazet i czasopism oraz tysiąca innych luksusów, o których wtedy nie miałam pojęcia. Na niewiele było mnie stać, ale kupiłam sobie wtedy w Karstadtzie liliowe getry do ćwiczenia aerobiku.

- „Enerdownce...” to, mówiąc hasłowo, opowieść o ludziach, którzy nagle stali się obcy we własnym państwie. Czym szok Ossis różni się od szoku Polaków?

- To temat na długi referat. Niemcy Wschodni nie utworzyli po tzw. pokojowej rewolucji w roku 1989 nowego państwa o własnych siłach, nie stworzyli władz rekrutujących się z szeregów własnej opozycji, lecz zostali niejako „zaanektowani” przez Republikę Federalną Niemiec. Ich państwo zniknęło z dnia na dzień z powierzchni ziemi i zostało zamienione czymś innym, miejscem, w którym poczuli się obywatelami drugiej klasy, gdyż ich kwalifikacje straciły wartość, podobnie jak ich ideały. Wielu z nich utraciło pracę i poczucie godności, musiało w wielu dziedzinach życia podporządkować się Niemcom Zachodnim. Do dzisiaj pracują ten szok w zdobywających coraz więcej nagród dziełach literackich.

- A Polacy?

- My mieliśmy „Solidarność” i jej wielki wkład w obalenie komunizmu, sami stworzyliśmy swoje nowe państwo i mogliśmy się w nim czuć gospodarzami. Czuliśmy dumę, a nie upokorzenie.

- Co upadek komunizmu zmienił w relacjach energowców i Polaków?

- Polacy i energowcy nie byli sobie bliscy za czasów realnego socjalizmu i nie pokochali się specjalnie po przełomie roku 1989. Przedtem uważaliśmy energowców za służalców Moskwy, nie szanowaliśmy ich, drażniły nas ich kontrole graniczne, gdy wracaliśmy z Pasewalku z nowymi butami i piórnikiem na zamek błyskawiczny w bagażniku. Gardziliśmy więc energowcami, oni zaś byli zdegustowani tym, że wykupujemy ich Kaufhalle. W okresie działań Solidarności oraz stanu wojennego ostrzegano ich, że Polacy są niebezpieczną siłą wywrotową, zdążającą w stronę anarchii i chaosu. Nie przepadali więc za nami, ale na pewno znali nas i nasz kraj dużo lepiej niż Niemcy Zachodni. Stosunki między nami, zwłaszcza w młodszym pokoleniu, pomału się ocieplają. Zresztą młode pokolenie nie odróżnia już raczej Niemców Wschodnich od Zachodnich.

- Uczy Pani na Uniwersytecie Szczecińskim i na Uniwersytecie Humboldtów w Berlinie. Wątek akademicki jest też istotny w Pani książce. Czym różnią się polskie i niemieckie szkoły wyższe?

- Na uniwersytetach niemieckich jest dużo większa rotacja pracowników. Prawie nikt nie ma możliwości pozostania na jednej uczelni dłużej niż kilka lat, stałe zatrudnienie otrzymuje się dopiero na stanowisku profesora. A więc pracownicy jednego instytutu nie są ze sobą tak zżyci jak w Polsce, mają do siebie większy dystans, wszystko przebiega tam bardziej „oficjalnie”, ważne jest zachowanie określonej formy. W Niemczech profesorowie mają większy komfort pracy niż u nas i dużo wyższe zarobki. Nikt na niemieckich uniwersytetach nie musi pracować na dwa etaty. Nie do pomyślenia są wspólne pokoje dla pięciu pracowników. Własne gabinety dla profesorów są normą.

- A studenci?

- Moi szczecińscy studenci są przeważnie młodszy niż niemieccy. Studenci niemieccy są bardziej zróżnicowani pod względem wiekowym, narodowym i światopoglądowym, a wybór studiów wydaje się być decyzją podjętą bardziej świadomie. Studenci szczecińscy, zwłaszcza ci początkujący, traktują profesorów trochę jak nauczycieli w szkole, uciekają do ostatnich ławek, odwracają wzrok, chichoczą, czasem przeszkadzają na zajęciach. W Niemczech tego nie ma.

- Jak wygląda życie literackie Niemiec? Jest tak bogate i prężne, jak się nam tu, w Polsce, wydaje?

- Tak, życie literackie Niemiec jest rzeczywiście bogate. Niemcy mają niezliczoną ilość stypendiów, nagród, konkursów i przeróżnych instytucji literackich, czekających tylko na to, żeby wspomóc bardziej i mniej zdolnych literatów. Na kulturę, także i literaturę, płyną spore środki finansowe, trzeba tylko umieć z nich korzystać.

- A jak na niemieckim rynku radzą sobie polscy pisarze?

- Średnio. Nie wchodzi na listy bestsellerów, prawie nie istnieją w świadomości ogólnej, mimo że ich książki zdobywają w prasie pozytywne recenzje. Polscy pisarze korzystają oczywiście z dobrodziejstw niemieckiej maszyny promocji kultury, przyjeżdżają do Niemiec na stypendia i festiwale. Często bywają w Berlinie np. Tokarczuk, Chutnik czy Masłowska. Mamy także w Niemczech wielu polskich pisarzy i pisarek migrantów. Niektórzy z nich, jak np. Artur Becker i Dariusz Muszer, piszą w języku niemieckim i odnieśli w Niemczech spory sukces. Dużo bardziej jednak znany jest Rosjanin Vladimir Kaminer, który z poczuciem humoru i dużą dozą sympatycznej złośliwości pokazuje Niemców w krzywym zwierciadle. A oni to bardzo lubią.

- Dziękuję za rozmowę

Rozmawiał Alan Sasinowski